

## Głosy wielorybów (fragment)

Edorta Jiménez Ormaetxea

—w—

Oryginalny tytuł: [Baleen barbaroa](#)

Tłumaczenie: Magdalena Gazda

Korekta: Marta Buszkiewicz

### ***Wieloryb!***

– Wieloryb, wieloryb! – wykrzykiwał strażnik.

Słyszając te okrzyki, rybacy ożywili się, bo chociaż w porcie panował dotąd spokój, wieść o wielorybie mogła postawić na nogi nawet umarlaka.

Byłem z wujem Juanem na molo w Artza przy smołowaniu łodzi. Właśnie zaczęła się jesień, więc szykowaliśmy się do ostatnich rybackich prac w tym roku. Wkrótce mieliśmy wypłynąć na morlesze<sup>1</sup>, ale wobec takiej nowiny morlesze mogły poczekać.

W jednej chwili wszyscy rzucili się do spychania w morze sąsiedniej łodzi. Wuj, choć lewe ramię miał bezwładne, zerwał się także do pomocy.

– Dalej, chłopcy! – pokrzykiwał.

W pewnej chwili do nawoływań strażnika dołączył dzwon z pustelni i poniósł wieść dalej. Nawet jeśli w osadzie ktoś jeszcze nie słyszał o wielorybie, teraz już musiał się dowiedzieć. Prawdę powiedziawszy, bicie w dzwony wieściło zwykle pożar albo inne nieszczęście. Tym razem jednak w powietrzu pobrzmiwał pewien wyjątkowy ton. Wydało mi się, że głos dzwonu niesie „Wie-lo-ryb! Wie-lo-ryb!”, i słyszając to dźwięczne „Raz-dwa-trzy, wie-lo-ryb, raz-dwa-trzy!”, domyśliłem się, że to mój przyjaciel Doro uderza w dzwony. Zresztą, jak mógłbym się nie domyślić, skoro to ja nauczyłem go tego specjalnego sposobu bicia w dzwon.

– Ej! Leć no zaraz na wzgórze i spytaj, z której strony widać wieloryba – przykazał mi wuj.

Miałem zamiar pobiec tak, jak stałem – boso, a serce łomotało mi w piersi, jakby chciało się z niej wyrwać.

---

<sup>1</sup> leszcze morskie

– A załóżże buty, synku! – rzekł wtedy wuj; to „synku” znaczyło, że aż się w nim gotowało z przejęcia.

– Spytaj jeszcze Simona, ile jest tych wielorybów. I wracaj mi tu raz-dwa!

Wbiegłem po pomoście i pędem skierowałem się na wzgórze. A gdy wuj nie mógł mnie już dojrzeć, natychmiast zdjąłem espadryle. Przecież szybciej pobiegę boso.

W drodze na wzgórze zdyszałem się i serce waliło mi jak młotem; rozmaite wspomnienia i obrazy mieszały się w mojej głowie. Panował w niej chaos większy, niż w tłumie, gdy puszczają *zezensuzkoak*<sup>2</sup> podczas fiest na Świętego Piotra. Czy to strażnik Simon wypatrzył wieloryba, czy może mnisi z klasztoru? To było teraz moje największe zmartwienie.

Mnisi mieszkali w klasztorze na wyspie, gdzie wiedli bardzo surowy żywot. Ale za to stamtąd, z wyspy Izaro, mieli znacznie lepszy widok na morze niż my w osadzie, z naszego wzgórza. Często dawali nam znać, co się dzieje na morzu, a mieli na to – i chciałbym wierzyć, że nadal mają – rozmaite sposoby. Gdy nadciągał sztorm, wrogowie, wieloryby, czy co tam jeszcze pokazywało się na horyzoncie, mnisi zaraz dawali znać w odpowiedni sposób. Naturalnie w zimie używali ognia, a w lecie – płótna, bo w zimie ogień jest bardziej widoczny z daleka niż płótno; a któż byłby w stanie dostrzec ognisko na wyspie w dusznym letnim skwarze, kiedy wszystko wokół zdawało się stać w płomieniach.

Gdyby to mnisi jako pierwsi zobaczyli wieloryba, musielibyśmy im oddać sporą część zdobyczy. Ale gorsza od oddania mięsa była konieczność wyzbycia się najlepszych kości i fiszbinów, chociaż pewnie to, co mówię, wyda się dziwne komuś, kto słabo zna się na wielorybach.

Tak więc chciałbym wyjaśnić, że bardzo ceniliśmy sobie wielorybie kości i fiszbiny, bo nadawały się do robienia przeróżnych przedmiotów. Na przykład mój stołeczek z dziecięcych lat, który pewnie gdzieś tam jeszcze płacze się po domu, właśnie z kości wieloryba sporządził dla mnie niejaki Mańkut. Był to nie tylko doskonały rybak, ale także zręczny rzemieślnik. Od śmierci mojego ojca miał zwyczaj zatrzymywać się przy bramie naszego skromnego domu i toczyć pogawędki z matką. Ale uważano go też za pomyleńca i dlatego budził we mnie lęk. Opowiadano o nim niestworzone rzeczy, choćby to, że mieszkał w ciasnej komórce, jak jakiś kot. Trzeba przyznać, że historiom na jego temat nie było końca. Na domiar złego

---

<sup>2</sup> *zezensuzko* – drewniany byk z przyczepionymi na grzbiecie fajerwerkami, używany podczas lokalnych fiest; osoba trzymająca wspartego na kołach byka biega za uczestnikami fiest, strzelając petardami i puszczając sztuczne ognie.

zaglądał też do kieliszka, więc resztę można sobie dopowiedzieć. Wygląd żebraka i niedbała powierzchowność też nie dodawały mu wdzięku. Sprawiał wrażenie nędzarza. No, ale nie zawsze.

Jeden jedyny raz widziałem Mańkuta w eleganckim ubraniu – i to nie jak zwykle przed bramą, ale w przedsionku. Zostałem go tam z moją matką, wróciwszy niespodziewanie z portu. Zaniepokoiłem się, bo spostrzegłem, że miała zaczerwienione policzki i głos jej dziwnie drżał, a także i to, że Mańkut, który chodził zwykle jak oberwaniec, tego dnia zjawił się w kurtce i starannie ogolony. Oczywiście trudno było mi pojąć, co takiego robił sam na sam z moją matką ten – teraz na pozór całkiem spokojny – jegomość, uważany przecież za wariata.

– Ależ ty urosłeś! Ten młodzieniec będzie chyba potrzebował niebawem własnego stołeczka? – rzekł Mańkut, a potem, zwracając się do matki, powiedział coś, co wprowadziło mnie w osłupienie. – Do zobaczenia następnym razem, *Brygido*.

„*Brygido*”! W domu nikt nigdy nie mówił do matki po imieniu – wszyscy, także wuj, a nawet Ebor, nazywali ją po prostu „matką”. I znowu coś mnie zaniepokoiło. Ale nie na długo. Kilka dni później stołeczek był gotowy i to arcydzieło odsunęło na bok moje zmartwienia.

Podobno mnisi z klasztoru byli równie dobrymi rzemieślnikami jak Mańkut; z tego, co opowiadano, w klasztorze na wyspie Izaro nie tylko stołki, ale i framugi drzwi do sypialni oraz większość mebli zrobione były z wielorybiej kości.

Nie wiedząc jeszcze, kto pierwszy wypatrył wieloryba, w duchu już złorzeczyłem mnichom. A potem ucieszyła mnie myśl, że jeśli to Simon go wypatrył, to całutki wieloryb będzie dla nas! Tak bardzo pochłonęły mnie te radosne rozważania, że aż się poślizgnąłem i zjechałem po trawie, nieźle objając sobie siedzenie.

Do siedziby Simona dotarłem utykając. Wtedy też wymacałem ogromną dziurę w spodniach na tyłku. Matka pewnie mnie skrzyczy. Ale co tam! Przecież dzięki temu wielorybowi będzie mnie wkrótce stać nie tylko na nowe spodnie, ale i na koszulę i kapelusz. Tymczasem byłem u Simona – w najbardziej tajemniczym zakątku naszej osady.

Miałem nie lada szczęście, mogąc oglądać z bliska tę osobliwą szopę. Była otwarta od frontu, a mały stolik, zastępujący drzwi, ograniczał wejście od podłogi do połowy ściany. W rogu stał kocioł, tuż pomiędzy beczką ze smołą i drewnem na opał. Na osobnych stertach leżały gałęzie z drzewa truskawkowego i laurowego, najlepsze do rozpalenia dymiącego ogniska. Simon miał więc pod ręką wszystko, co potrzebne do robienia

znaków dymnych. Patrzył właśnie przez lunetę, śledząc z ogromną uwagą wszelkie ruchy wieloryba.

Baliśmy się tego człowieka, bo zwykł mawiać, że wykastruje każdego, kto tylko zbliży się do jego chaty. I chociaż jeszcze nie wiedzieliśmy, co znaczy *wykastrować*, przeczuwaliśmy, że kryje się za tym słowem coś piekielnie nieprzyjemnego. Z perspektywy prawie osiemdziesięciu lat, muszę przyznać, że zachowanie Simona było bardzo rozsądne, bo nic tak nie mogło przeszkodzić w jego pracy jak my – dzieciaki, gotowe wszystkiego dotknąć, wziąć do ręki, popsuć, a nawet podpalić mu chatę.

Simon wiedział, skąd wieje jaki wiatr, wiedział też, jaki ogień rozpalic podczas jakiej mgły, co oznacza czarny lód – jednym słowem, znał się na wszystkim, co wiązało się z pogodą. Każdego ranka, przed wyjściem w morze, niejeden szyper, kapitan, a często i sam właściciel łodzi, przychodził na wzgórze do Simona po radę. Jak Simon mówił, żeby nie wypływać, tego dnia nikt nie ważył się wyjść w morze, to znaczy, zostawaliśmy w domu, a jak mówił, że można, to wtedy wszyscy płynęli. To była niemała odpowiedzialność. Może właśnie dlatego Simon był zawsze ponury jak chmura gradowa? Na szczęście, gdy zjawiłem się w jego chacie, przyjął mnie życzliwie.

Widok wieloryba musiał wprawić go w dobry nastrój, bo zwrócił się do mnie zupełnie inny, łagodniejszy człowiek, a nie ten szorstki, którego znaleźliśmy na co dzień.

– Są dwa, matka z młodym, zdaje się. Wujowi powiedz, że to ja wypatrzyłem je pierwszy, nie mnisi. Ci z Bermeo kierują się już za Izaro i ci z następnej wioski też. Powiedz mu jeszcze, że w Elantxobe też już na pewno wiedzą – nagła złość targnęła Simonem i ciągnął dalej gniewnie, zlorzecząc pod nosem. – Właśnie dali znać swoim, piekielni braciszku!

Słyszając przekleństwa Simona, znów się go przestraszyłem. Jego bystre jak u albatrosa oczy płonęły gniewem. Według nas – a mam na myśli wszystkich chłopców w osadzie – nikt bardziej niż Simon nie zasługiwał na naśladowanie. Kiedy mewa pikuje za rybą, zdarza jej się chybić, natomiast albatros nigdy się nie myli. A czyż nasze życie nie zależało od bystrości jego oczu? Dlatego właśnie przyrównywaliśmy go do albatrosa, najbystrzejszego z morskich ptaków. W tamtych czasach każdemu wymyślaliśmy jakieś przezwisko, codziennie mieliśmy coś nowego do roboty i codziennie sprzeczałyśmy się o to samo. Najczęściej o to, kto ma nad kim władzę.

– Najważniejszy w Bractwie jest Starszy – dzień w dzień dowodził Peru Areneko, gdy wiosną szukaliśmy żab w portowej zatoczce. Pamiętam to jak dziś.

– Ale gdzie tam! – wykrzykiwał wtedy porywczy z natury Sebas, którego nazywaliśmy tak tylko dlatego, że nosił to samo imię co ja. – Starszy miałby się z pyszna, bez tego, co daje mu rada bractwa.

– Dajcie spokój, chłopaki! Może powiecie mi, skąd Cechmistrz wzięłyby ryby dla Starszego, gdyby strażnik nie wypatrzył wieloryba – powtarzałem słowa wuja Juana, z wiarą młokosa, który szybko chce dorosnąć.

I choć ani razu nie znaleźliśmy żabiego gniazda w porcie, niewiele nas to obchodziło. Chcieliśmy tylko dorosnąć, żeby już odłożyć na bok te zabawy i żyć jak prawdziwi mężczyźni. Z jednej strony niemal wszyscy chcieliśmy upodobnić się do Simona ze wzgórza, mimo iż miał przkleństwa, nie bacząc na przerażające kazania, których wysłuchiwałem w kościele. Niemniej jednak uważałem go także za wielkiego grzesznika, bo żyłem wtedy w bezustannym strachu przed możliwą karą piekielną. Na szczęście ten strach już dawno mnie opuścił, bo pojąłem, że wszystkie religie potrzebują grzechu, zresztą, jeszcze do tego wrócę. Wtedy jednak, gdy słyszałem takie rzeczy, żołądek podchodził mi do gardła.

Nadal mam przed oczyma twarz i krzepką postać Simona, jakby wciąż żył. Zdawało się, że w każdej chwili był gotów, niczym albatros, zerwać się do lotu, polecieć do klasztoru i zadziobać tych wszystkich mnichów. A jednak, jeśli naprawdę gdzieś istnieje ten obiecany nam przez wszystkie religie raj, to Simon tam właśnie powinien być.

W takie dni jak tamten niemało mu zawdzięczaliśmy; złowić wieloryba oznaczało dla nas znaleźć się na kilka dni w niebie. Zważywszy, że ilekroć zakonnicy z Izaro wypatrzyli wieloryba, dawali znać najpierw swoim z Bermeo, i że to im, zakonnikom, najłatwiej było wieloryba dostrzec, można by uznać za prawdziwy cud, że to właśnie Simon zauważył tamte dwa. Ale tak naprawdę żadnego cudu w tym nie było. Pewnie mnisi byli akurat pogrążeni w swoich modłach, bo było bardzo wcześnie rano, albo też wieloryby nadpłynęły z zupełnie niespodziewanej strony.

### Edorta Jiménez Ormaetxea

Edorta Jiménez Ormaetxea (1953, Mundaka, Bizkaia). Pisarz i poeta baskijski. Tworzy także pod pseudonimem Omar Nabarro. W jego żyłach miesza się krew andaluzyjska i baskijska. Ukończył studia pedagogiczne w zakresie języka baskijskiego. Był marynarzem, nauczycielem, tłumaczem, autorem scenariuszy kinowych i telewizyjnych (m.in. do seriali *Hau komeria!* i *Goenkale* dla EiTb – Autonomicznej Telewizji Kraju Basków). Pisywał do dzienników *Egin*, *Gara* oraz *Egunkaria*. Obecnie zajmuje się przede wszystkim literaturą. Jest autorem tomików poezji, m.in. *Gaua zulatzen duten ahausietan* (*W szczekaniu przesywającym noc*) (1987), *Haragizko amorek* (*Cielesne miłości*) (2010). W 1991 ukazała się pierwsza powieść Jimeneza – *Speed gauak* (*Noce na speedzie*), inne powieści Jimeneza to *Kilkerren hot sak* (*Cykanie świerszy*) (2003) oraz trylogia *Piztien itsasoa* (*Morze bestii*), na którą składają się *Baleen barbaroa* (*Głosy wielorybów*) (1999), *Sukar ustelaren urtea* (*Rok tyfusu*) (2004) oraz *Azeria eta lehoia* (*Lis i lew*) (2007). W dorobku autora znajdują się również biografie: *George L. Steer, Gernikan izan zen kazetaria* (*George L. Steer, dziennikarz, który był w Gernice*) (2004), oraz *Robert Capa* (2005); esej *Hemingway eta euskaldunak zerbitzu sekretuetan* (*Hemingway i Baskowie w tajnych służbach*) (2003) oraz zbiór opowiadań erotycznych *Stock 13* (2009).

*Głosy wielorybów* to thriller historyczny, którego akcja toczy się w nadmorskiej osadzie Mundatxa, w XVI-wiecznym Kraju Basków. Spokojną osadą porusza wiadomość, że u wybrzeży pojawiły się wieloryby. Żądza polowania przywoła sprawy sprzed lat i spowoduje tajemniczą śmierć jednego z rybaków, której wyjaśnieniem zajmie się młody Sebastian – główny bohater powieści.

### Magdalena Gazda

Czuje, że jest z Bilbao, choć urodziła się w Krakowie, w 1975 roku. W czasach liceum, podczas wymiany szkolnej w Madrycie, szkolny podręcznik do hiszpańskiego rozbudził jej chęć, by nauczyć się baskijskiego. W wyniku pewnych okoliczności życiowych przez 5 lat pracowała w sklepie, aż w końcu, w 2000 roku, podjęła naukę *euskery* w ramach Filologii Hiszpańskiej na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Podczas studiów spędziła wiele miesięcy w szkole baskijskiego w Zornotzy, poznając kulturę i język Kraju Basków oraz współpracując z Fundacją Aurtan Bai przy ciekawych projektach związanych z tym językiem. W roku akademickim 2002/2003 studiowała na Uniwersytecie Kraju Basków w Gasteiz w ramach stypendium Erasmus. Rok później zdała egzamin państwowy ze znajomości *euskery*. Po ukończeniu studiów w 2006 roku przyjechała do Kraju Basków, by zamieszkać tu na stałe. Obecnie razem ze swym partnerem życiowym i kotem mieszka w Portugalete. Dotąd zajmowała się głównie tłumaczeniami. Od 2011 roku pracuje w firmie Eleka, spełniając swoje wielkie marzenie o połączeniu dwóch pasji: baskijskiego i informatyki.